MIĘDZY PRAWDĄ A GRZECHEM

WITOLD WYRWA

SPIS TREŚCI

Od autora 5

TOM I

Część pierwsza – Ciemność 13
Część druga – Blizny 111
Część trzecia – O 19 pod szczęściem 201

TOM II

Część pierwsza – Banita miłości 251
Część druga – Granica 341
Część trzecia – Powidok szczęścia 417
Część czwarta – Pachira 485

W idealnym śnie 519

Od autora

Drodzy Czytelnicy,

jeśli nie napotkam poważnych przeszkód, te słowa trafią do Państwa jesienią 2026 roku, a zatem zaledwie pięć lat od pierwszego wydania powieści. Decyzja o jej przeredagowaniu zapadła z dwóch powodów. Pierwszy: zamierzam ją wydać w formie audiobooka. Drugi: w tym stosunkowo krótkim okresie rozwinąłem warsztat pisarski. Dlatego gdy premierowy nakład był już bliski wyczerpania, postanowiłem podjąć wysiłek gruntownej przebudowy tekstu.

Pierwsze wydanie było solidnie przemyślane, dlatego odbiorcy mojego debiutu dostrzegą, że oś fabularna pozostała bez większych zmian. Odmienny kształt przybrała natomiast cała reszta, która kryje się pod enigmatycznym pojęciem *styl*. Wykonaną pracę można przyrównać do renowacji domu, z którego pozostał jedynie szkielet, a inne części uległy odświeżeniu albo kompletnej wymianie.

W świecie, w którym pisarze publikują nawet kilka książek rocznie, takie działanie może wydawać się irracjonalne. Mną – oprócz chęci zadowolenia czytelników – kierowała potrzeba zaspokojenia poczucia dobrze spełnionego obowiązku. Stworzenie tej niepozornej rzeczy, którą trzymacie Państwo w rękach, to kawałek mojego życia mierzony w latach, a nie w miesiącach. Co prawda upływ czasu nie zawsze musi pozytywnie oddziaływać na talent, jednak mam nadzieję, że zainwestowany wysiłek zaowocuje szczerym przekonaniem, że ta książka była warta poświęconego czasu – najcenniejszej z walut, jakie posiada człowiek.

Na koniec, zaklinając nieco rzeczywistość, życzę Państwu, byście oprócz przyjemności z lektury odnaleźli choćby jedną myśl, która doda Państwu sił w niełatwej drodze między prawdą a grzechem.

MIĘDZY PRAWDĄ A GRZECHEM

TOM I

Człowiek nie staje się oświecony poprzez wyobrażanie sobie światłości, ale dzięki uczynieniu ciemności świadomą.

Carl Gustav Jung

Trzeba sił, trzeba ducha
Trzeba runąć, trzeba upaść
Musisz zwątpić, by uwierzyć
Żeby umrzeć, musisz przeżyć
By odzyskać, musisz stracić
By odrodzić, musisz zabić
Prawda zawsze jest o krok
Z drugiej strony czeka mrok
Siła – słabość, siostry dwie
Która lepsza, kto to wie?

CZĘŚĆ PIERWSZA

CIEMNOŚĆ

I

Zakładam skórzane półbuty, na które naciągam nogawki tweedowych spodni, zdecydowanie za długich jak na tę porę roku. Wsuwam w nie kraciastą koszulę i zaciskam pasek, by po raz kolejny stwierdzić, że zasysam się jak suszony owoc. W przeciwieństwie do wielu niedostatków brak lustra mi służy. Unikam spojrzenia sobie w oczy w obawie przed prawdą, od której uciekam długi czas. Ta prawda ma błysk twoich oczu, lecz przesiąkła goryczą ostrzejszą niż piołun. Wniknęła w głąb mojej osobowości, jak gdybym wstrzyknął ją igłą Jamshidi wprost do szpiku. Teraz w mojej krwi płynie gorycz, której nie potrafię się pozbyć. Zatruwa cały mój świat, dlatego leżenie na plecach i oglądanie plątaniny pajęczej sieci to ostatnio jedyne zajęcie, któremu jestem w stanie sprostać. Sieć ma kolor twoich włosów zasnutych warstwą czasu. To plątanina, którą sam usnułem, lecz nie mam pojęcia, jak się z niej wydostać.

Wychodzę z mieszkania, o ile da się tak nazwać obskurną klitkę na poddaszu. Po prawej stronie od wejścia szarzy się niewielka wnęka, imitująca kuchnię. Jej wyposażenie stanowi zdezelowana peerelowska szafka z drzwiczkami opadającymi przy otwieraniu. Na niej stoi kuchenka podłączona do butli z gazem, obok emaliowany zlew z rdzawymi zaciekami, nad którym wisi druciana suszarka z naczyniami, choć użycie liczby mnogiej dla talerza, miski, dwóch kubków oraz paru kufli zabranych niechcący po pijaku z okolicznych knajp zdaje się drobną przesadą. Poza tym w kącie kryją się obszarpany taboret i okrągły stolik, który wygląda, jakby ktoś go ukradł z restauracyjnego ogródka.

Dalej znajduje się pomieszczenie niezasługujące na miano pokoju – łyse cegły, wytarte szare deski, wysuszone legary, w które walę

pięściami, gdy przeleje się czara goryczy. Okno w dachu jest niewiele większe niż książka, pod nim dogorywa obszarpany materac, który stał przy kontenerze na gruz w dniu, w którym tu zamieszkałem. Chowa się pod wytartą, poprzetykaną dziurami po papierosach pościelą, na której alkoholowym brunatnym potem maluję całun mojego upadku. Łazienkę na półpiętrze dzielę z innymi mieszkańcami tej przesiąkniętej zepsuciem kamienicy.

Z pewną ulgą zostawiam to miejsce, które sam nazywam grobowcem. Schody jęczą niczym więzień wycieńczony niekończącym się przesłuchaniem. Na klatce unosi się zaduch całodziennego żaru. Im niżej, tym chłodniej, ale i więcej zapachów zawieszonych na nieustępliwej wilgoci. Wypociny gospodyń domowych mieszają się z uryną ich wiecznie nietrzeźwych mężów.

Schodzę powoli jak król po schodach westybulu, rozpoczynając codzienny bal straceńców. Przy drzwiach bramy stoi pierwszy gość – pijany sąsiad opiera się o ścianę, by utrzymać pion. Przyśpieszam kroku, bo wiem, że zaraz poprosi mnie o pieniądze. Nie lubię wspierać cudzych nałogów, sam mam ich całkiem sporo. Na szczęście jest tak zalany, że stanowię tylko jedną ze smug wirującego przed nim snu zwanego rzeczywistością. Dla samego siebie znaczę niewiele więcej – przypominam łunę wspomnień i pragnień człowieka, który wciąż się tli.

Idę ulicą, korkiem buta stukając o chodnik. Dźwięk ten świadczy o tym, że w dalszym ciągu nie udało mi się zgasnąć. Dla osoby o mojej konstrukcji psychicznej to nie takie znowuż oczywiste. To, że wciąż istnieję, potwierdzają także rwące ssanie w żołądku oraz pot, który momentalnie wylewa się z każdego centymetra mojej skóry tuż po opuszczeniu grubych murów budynku.

Zachodzę do sklepu. W ciemnawym pomieszczeniu wyłożonym towarami – od podpasek po drożdżówki – specjalne miejsce zajmują alkohole wszelkiej maści. Pod szklaną ladą rozciąga się urodzaj wyrobów tytoniowych, za nią garbi się kobieta o farbowanych blond włosach z odrostami i skórze w odcieniu sztucznej opalenizny, który starannie utrzymuje przez cały rok. Czoło

ekspedientki zamiast naturalnych brwi zdobią dwie czarne kreski przypominające mewy nabazgrane przez niezbyt rozgarnięte dziecko. Obfitość jej ciała wylewa się spod różowej koszulki o gryzącym odcieniu. W powietrzu unosi się mdląca woń potu przesyconego nutą taniego zwietrzałego dezodorantu, którą roztacza wokół siebie od samego rana. Jedynym przyjacielem sprzedawczyni jest mały wiatrak, który niczym pacjent szpitala psychiatrycznego kręci się w matni, do której został zaprojektowany. Egzystencja tych dwojga zdaje się tożsama, odróżnia ich tylko to, że w jej świecie istnieje nieracjonalne uczucie o nazwie *nadzieja*. Jej główny bohater to bezimienny rycerz z bajki o niezliczonych twarzach, który kiedyś wjedzie na białym koniu do tej zatęchłej kanciapy i porwie ów cud natury z doklejonymi rzęsami, by przenieść ją do równoległej rzeczywistości, stworzonej na kanwie brazylijskich seriali.

Proszę o setkę i sok pomidorowy.

– Jaki pan dzisiaj elegancki – zagaduje, wypinając piersi ściśnięte z jakąś sadystyczną nadgorliwością przez zbyt małe miseczki stanika.

Wymuszam uśmiech, choć sam nie wiem, w jakim celu, przecież mierżą mnie te międzyludzkie konwenanse i społeczne nakazy, które każą nam reagować w określony sposób. Czuję się więźniem nie tylko własnych myśli, lecz także tej całej ludzkiej machinerii pachnącej gnijącymi marzeniami, hipokryzją i wszechobecnym skurwieniem.

Płacę, wychodzę i nagle łapię się na tym, że mimo wszystko jej słowa sprawiły mi jakąś radość. Trafiły prosto w strunę próżności, którą każdy z nas ma. Jednakże ja postanowiłem swoją wyrugować, dlatego zadowolenie w ułamku sekundy zmienia się w agresję skierowaną jak zwykle do wewnątrz. Jej słowa znaczyły bowiem tyle, że nie stoczyłem się jeszcze doszczętnie. Tyle tylko, że ja staczam się świadomie, nie stawiając najmniejszego oporu. Celem jest zatem dno, co prowadzi do abstrakcyjnego wniosku, że nawet upadek nie idzie mi najlepiej.

Mdli mnie, chwytam się za brzuch. Pcham uchylone drzwi bramy, wtaczam się do środka i opieram się o ścianę. Substytut śniadania stanowi tęgi łyk soku – w końcu każdy wie, że nie pije się na pusty żołądek. Kręcę głową, nie wierząc we własną głupotę. Odkręcam setkę i z miną pełną namaszczenia przechylam buteleczkę, pozwalając, by paląca ciecz rozlała się w ustach. Przytrzymuję ją chwilę, po czym pozwalam, by spłynęła w głąb roztrzęsionego ciała. Wypuszczam powietrze, by natychmiast nabrać je łapczywie z powrotem, tak jakbym wynurzył się na powierzchnię życia po bardzo długim zanurzeniu. Delektuję się tą chwilą i czekam kilka sekund, zanim zażyję drugą część mojego leku na chorobę zwaną życiem. Kończę rytuał rozpoczynający codzienne znieczulanie, dopijając resztę śniadania.

Wychodzę. Remedium powoli przenika do rozdygotanej świadomości, która niczym brudne lustro czyszczone starą szmatą z każdym ruchem zaczyna odbijać coraz wyraźniejszy obraz. Wreszcie ogarnia mnie spokój, bynajmniej nie błogi, lecz niezwykle chwiejny. Na tyle, by potrzeba ukojenia zaczęła kiełkować ułamek sekundy po podaniu pierwszej dawki. Tak czy inaczej, kupiłem sobie kilka chwil wytchnienia. Świat nie denerwuje mnie tak bardzo jak jeszcze parę minut temu. Nagle wstydzę się złych myśli o ekspedientce, tej lekkiej pogardy. Jest mi przecież bardzo bliska – to mój dealer – człowiek dla każdego straceńca bliższy niż własna matka. W dodatku, jakby dobrze się przyjrzeć, to nie różni nas w końcu aż tak wiele. Ona, ja, wiatrak – wszyscy kręcimy się z uporem maniaka w zaklętym kręgu naszych świadomości, lecz teraz wydaje mi się, że tylko to, co robi wiatrak, nosi znamiona sensu.

Przechodzę obok uchylonego okna. Za nim niebrzydka kobieta energicznie wymachuje ścierką. Myśl o ludziach dbających o czystość podnosi mi kąciki ust w kpiarskim uśmiechu. Lubię to poczucie bycia innym niż purystyczna część społeczeństwa, która w rzeczywistości wcale nie jest mniej pogubiona, a jedynie lepiej maskuje swój obłęd. Wiem – pogarda to nic chwalebnego, ale tylko ona mi została. Oprócz niej jeszcze muzyka, która dopełnia obrazu

prawdziwego straceńca. Ty i ona, to wy mnie stworzyłyście. Bez niej byłbym tylko smutnym spitusem, bez ciebie – zwykłym grajkiem.

Zastanawiałaś się kiedyś nad tym, co czyni nas tym, kim jesteśmy? Jakie zdarzenia musiały nastąpić, byśmy znaleźli się w danym miejscu? Czy zostałbym Straceńcem, gdybyś nie stała pod barem w tych seksownych szpilkach? Opierałaś się o wysoki stolik, z ponętnie skrzyżowanymi nogami. Czarna, taliowana sukienka przylegała do twojego zgrabnego ciała, a lśniąca skóra na tle chropowatych, odpadających tynków starych kamienic zdawała się wręcz nie z tego świata.

Nigdy nie potrafiłem uwodzić kobiet. Wrodzona nieśmiałość zawsze wynajdywała usprawiedliwienie, by się oddalić bez słowa w bezpieczną nicość. Gdy cię zobaczyłem, nie myślałem ani sekundy, jak gdyby wielka ręka pchnęła mnie ku tobie. Dostrzegłaś, że zmierzam w twoją stronę, i nie było już wyjścia. Paliłaś papierosa, więc i ja zapaliłem, przybierając minę hollywodzkiego twardziela. Musiało to dziwnie wyglądać, ale się nie odwróciłaś, nie odeszłaś, lecz spojrzałaś z rozbawionym zaciekawieniem. Nie pamiętam dziś, co powiedziałem – pewnie coś głupiego, bo parsknęłaś śmiechem.

Bez wątpienia byłem spięty, ale i ty usiłowałaś zachowywać się bardziej wyzywająco, niż leżało to w twojej naturze. Ten wieczór uzurpacji, gdy chcieliśmy przypominać postaci z filmów, miał odcisnąć na naszej przyszłości znamię bardziej osobliwe, niż którekolwiek z nas mogło przewidzieć. Pragnęliśmy skraść parę przeżyć, o których zawsze marzyliśmy, nie przypuszczając, że przeznaczenie wpycha nas na ścieżkę prowadzącą wprost na szafot.

Zwykle żyjemy inaczej, niż byśmy chcieli. Zamiast podejść do dziewczyny, która nam się podoba, na zawołanie znajdujemy wymówkę. Wracamy do domu, włączamy pudełko marzeń i oglądamy, jak inni robią to za nas. Ta noc pachniała odmianą. Wiem, że dla ciebie również. A może tylko chcę w to wierzyć? Może właśnie stoisz przed jakimś barem i czarujesz kolejnego frajera? Znów włożyłaś te seksowne szpilki, którąś z tych gustownych sukienek.

Zapalasz papierosa, a zamiast dymu otacza cię aura kobiecości. Wysyłasz mnóstwo sygnałów – od ponętnego wyglądu do uroczego dziewczęcego śmiechu, który rozsiewa motyle w brzuchu. Wiem – motyle w brzuchu są infantylne, ale na wspomnienie twojego uśmiechu nawet dziś czuję ten lekki ścisk w żołądku. Stanowiłaś połączenie seksbomby i słodkiej dziewczyny, którą chce się kochać na zawsze. Oczekiwaliście bardziej literackiego porównania? Wybaczcie, to tylko zapiski upadłego mężczyzny. My w gruncie rzeczy jesteśmy prości, dopiero smutek czyni nas donioślejszymi.

II

Do Absencji wchodzę na wpół żywy z morderczego gorąca. Witam się z Saszką, kładąc na stoliku futerał z trąbką. Zapewne jesteście rozczarowani – powinienem był wspomnieć, że coś niosę. Jak sobie mnie wyobraziliście? Zawitałem w waszej wyobraźni jako wysoki blondyn czy krępy brunet? Miałem brodę, wąs, baczki? Włosy długie, krótkie, kręcone czy proste? Nos bulwiasty, szpiczasty, szopenowski, a może mały i całkiem foremny?

Podpowiem wam, że nie ma to żadnego znaczenia. Możecie sobie dowolnie wybrać. Nie dlatego, że nie mam cech szczególnych, ale dlatego, że straceńców, takich jak ja, kryje się wśród nas całe mrowie. Co dnia mijacie ich na ulicy. Siedzą na sąsiednim miejscu w tramwaju albo pakują wam bułki w piekarni. Towarzyszymy wam podczas rozmowy z przyjaciółką w kawiarni, gdy na straganie wkładacie jabłka do siatki, albo podczas przejażdżki na rowerze. Trwamy przy was nawet wtedy, gdy jesteście same, bo to wy nas stworzyłyście. Złączyła nas nierozerwalna więź, bo gdy człowiek odbiera życie, wówczas należy ono do niego.

Istnieje jednak cecha, która łączy wszystkich straceńców. Jaka? Odpowiem opisowo. Wyobraź sobie dziecko, najlepiej biedne. Niech to będzie dziewczynka. Brunetka, włosy do ramion, zaczesane w kitkę. Ciemne, urzekająco rzewne oczy, takie, które znają wyrzeczenia i smutek. Napisała list do Świętego Mikołaja – na Gwiazdkę

pragnie dostać strój baletnicy, taki z doczepianymi skrzydełkami i różdżką, coś jak Dzwoneczek z *Piotrusia Pana*. Jej marzenie jest proste – chce pójść na bal karnawałowy, by przenieść się w inny świat. Świat, w którym przez krótką chwilę nie będzie się czuć jak ktoś gorszy, niewart porządnego ubrania, nie mówiąc o uwadze czy życzliwości.

Nadchodzi Wigilia. Dziecko przystraja sztuczną, wysłużoną choinkę. Robi się ciemno, więc w końcu można zapalić światełka. Do domu wraca mama obładowana siatkami. Dysząc ciężko, stawia je na blacie. Patrzy z wyrzutem na świecące się lampki. Mała wie, że chodzi o rachunki, ale spogląda błagalnie – przecież Mikołaj nie przyniesie jej wymarzonego prezentu, jeśli choinka nie będzie pięknie przystrojona.

Nakrywają do stołu. Dwa miejsca zostają puste. W garnku bulgocze barszcz z paczki. Na patelni skwierczy karp. O dziwo, są też pomarańcze i trochę smakołyków. Dziewczynka bierze wielką śliwkę w czekoladzie i wpycha ją całą do buzi. Matka patrzy z czułością i lekkim uśmiechem. Zwraca jej uwagę, by się nie objadała, i prosi, żeby wyszła na dwór wyrzucić śmieci.

– Nie zapomnij sprawdzić, czy wzeszła pierwsza gwiazdka! – krzyczy za nią.

Gdy dziewczynka wraca, dostrzega pod drzewkiem prezenty. Cieszy się i skacze z emocji.

– Widziałaś Mikołaja? – pyta z oczami większymi niż wszechświat.

– Musiał je podłożyć, gdy byłam w toalecie – odpowiada z miną pełną niedowierzania.

Siadają do wieczerzy. Mała wiosłuje łyżką w barszczu z niespotykaną dla siebie werwą, by jak najszybciej sprawdzić, czy Mikołaj przyniósł jej wytęskniony podarek. Każda potrawa skosztowana, naczynia zniesione, kawa zaparzona, na talerzu leży kawałek sernika. Dziewczynka patrzy pytającym wzrokiem. Matka uśmiecha się i pozwala jej otworzyć prezent. Dziecko biegnie do choinki. Pada na kolana i z nadzieją w oczach rozrywa czerwony papier. Jest!

W środku znajduje się różowy karton w złote gwiazdki z celofanowym okienkiem, za którym widnieje upragnione marzenie – biały strój wróżki. Drobinka krzyczy z ekscytacji. Unosi wieko opakowania i z niedowierzaniem patrzy na spełniający się na jej oczach cud.

Stop! Zatrzymaj się na chwilę. Wyobraź sobie wielkie ciemne oczy dziewczynki tryskające szczęściem. Zapamiętaj jej uśmiech, rozszerzone źrenice i jaśniejące pośród nich wielkie ogniki radości. Zaraz pójdzie przymierzyć swój wyśniony kostium. Stanie naprzeciwko lustra, zacznie wymachiwać różdżką, a ta przeniesie ją na wymarzony bal. Ujrzy siebie na schodach z białego marmuru, jak stąpa z gracją w kierunku gości. Wyobrazi sobie tę chwilę, gdy w końcu ktoś jej zazdrości, a nie jak do tej pory spogląda na nią z wyższością. To moment, w którym dostanie coś, czego pragnęła bardziej niż samych ubrań – akceptację, poczucie równości, nadzieję na przyjaźń. Zatrzymaj się. Poczuj to, co ona, dostrzeż, co kryje się za tym przebraniem.

Przepełnia ją takie szczęście, że zasypia w upragnionym podarku, i nawet przez sen kąciki jej ust unoszą się lekko. Z rana budzą ją odgłosy dobiegające z salonu. W pokoju przy stole siedzi pijany konkubent matki. Nie było go na Wigilii, bo chlał z kolegami. Patrzy mętnym, nienawistnym wzrokiem na zaspane dziecko w stroju Dzwoneczka. Lży dziewczynkę, nazywając ją małą kurwą. Pyta, skąd ma to wdzianko. Insynuuje, że na pewno chce się przespać z jakimś małym chujkiem.

Matka zrywa się z łóżka, stara się uspokoić mężczyznę, ale to jeszcze bardziej go rozjusza. Pyta, skąd miała pieniądze na te szmaty. Mała krzyczy, że to od Mikołaja. Konkubent popycha matkę na szafę, kładzie wielkie łapsko na jej brodzie i z pogardą ściska jej twarz, wykręcając w różne grymasy. Kobieta wie, co zaraz nastąpi. Ponownie słyszy pytanie, skąd to ma. Drżącym głosem wyrzuca z siebie wyjaśnienia, że to od jakiegoś darczyńcy z fundacji. Jej odpowiedź nie ma najmniejszego znaczenia, gdyby kupiła ten prezent sama, zbiłby ją, bo wydała bezsensownie pieniądze. Dostała z pomocy społecznej, a zatem wzięła jałmużnę. Rzuca

ją na ziemię – zrobiła z niego pieprzonego żebraka. Kopie kobietę w brzuch. Dziewczynka krzyczy, bije menela w udo. Ten chwyta ją, zostawiając na ramieniu dziecka siniaki. Wyrywa jej z rąk różdżkę, łamie ją na pół. Podchodzi do okna, otwiera je i wyrzuca splugawiony atrybut magicznego Dzwoneczka. Wraca i w furii brutalnie rozdziera delikatne ubranko dziecka.

Stop! Zatrzymaj się. Wyobraź sobie oczy małej dziewczynki, która stoi upokorzona, w podartym marzeniu. Okradziona nie tylko z ubrań, lecz przede wszystkim z niespełnionych szans. Nie! Nie odwracaj wzroku, nie zamykaj książki, miej trochę odwagi i spójrz jej w oczy! Są ciemne, powoli napływają do nich łzy. Mieści się w nich cała bezradność, zabita nadzieja, światełko w tunelu zgaszone brudną, pijacką ręką. Zgrzyta zębami, trzęsie się z gniewu i strachu. Puszczają jej zwieracze. Mocz cieknie po białych rajstopkach. Uryna nie tylko plugawi spełniony przez kilka chwil sen, lecz również przenika pod skórę, zabijając wiarę w szczęśliwe życie.

Wiesz, czym się różnię od małej dziewczynki o wielkich smutnych oczach? Tym, że nigdy nie potrafiłem cię znienawidzić. Myślisz, że ta mała będzie po tym zajściu taka sama jak przedtem? A ja? Bez ciebie, bez mojego marzenia, snuję się brudnymi ulicami, odziany w podarty strój małej wróżki, ze wzrokiem skrzywdzonego dziecka.

Myślałem, że los zesłał mi coś dobrego i odtąd wszystko się odmieni. Przed tobą życie wypełniał bezwład monotonnie następujących po sobie dni pozbawionych trosk, ale i wielkich radości. Dopiero gdy cię zobaczyłem, jak stałaś w tych szpilkach, zrozumiałem, że to na ciebie czekałem. Obudziłaś drzemiące cicho namiętności. Śpiących głęboko nie należy budzić nazbyt gwałtownie – gdy otworzą oczy, mogą okazać się nieobliczalni.

Ja w ułamku sekundy straciłem cały rozum. Mimo to podszedłem na drżących nogach, pchany wewnętrznym imperatywem, którego dziś nie rozumiem. Nie myślałem, nie analizowałem, nie obgadałem tego z kumplami. Wiedziałem, że muszę cię zagadnąć i było to tak bezdyskusyjne, jak zaczerpnięcie kolejnego oddechu. Wyglądało

to trochę jak gra w pokera. Z pozoru nie zdradzałaś zainteresowania, jednak w twoim spojrzeniu kryło się coś jakby zaproszenie. Taki bluff – nie zależy mi, ale się postaraj.

Weszliśmy do środka, a ty patrzyłaś z rozbawionym zaciekawieniem – spotka mnie zachwyt czy zażenowanie? Przedstawiłem cię kolegom z zespołu. Zaczęłaś się śmiać, gdy usłyszałaś ich dosadne docinki. Stawka została podbita. Albo wchodzę za wszystko, albo przegrywam z kretesem i zostają mi tylko drwiny starych kumpli. Myślałem, że tętno rozsadzi mi aortę, lecz i ja wtedy zrobiłem nieodgadnioną minę. Bez jednego fałszywego grymasu wyciągnąłem do ciebie dłoń. Zaprowadziłem pod podest szumnie zwany sceną. Podstawiłem ci krzesło i sam wszedłem na podwyższenie. Przeciągnąłem parę razy palcami po tłokach. Nagle zapomniałem wszystkich ćwiczonych latami rzewnych melodii, lecz odwrotu już nie było. Zamknąłem oczy w nadziei, że jakoś się ułoży. Palce też mają pamięć, dzisiaj wiem to lepiej niż w tamtej chwili. *Graj tak, jakbyś ją całował* – pomyślałem, przyciskając zimny ustnik do warg.

Wcisnąłem E i pociągnąłem długi dźwięk, zmieniłem na G. Poczułem ciepło zwykle chłodnego metalu. Przyjemne wibracje rozeszły się po pustawym, ciemnym pubie. Wyobraziłem sobie, że jesteśmy sami. Nie ma moich głupawych kolegów, pozostałych gości, znika cały świat i zostajesz tylko ty. Siedzisz na krześle, zakładasz nogę na nogę i spoglądasz z zuchwałym uśmiechem. Twoje oczy świdrują mnie, pragną potwierdzenia tego, co gdzieś głębiej dobrze wiesz – jesteś moim marzeniem, za które oddałbym wszystko, co mam. Nagle te godziny, które spędziłem na nauce gry na instrumencie, nabrały sensu – warto było ponieść ten trud tylko po to, bym mógł skraść twoje serce. I grałem tak, jakbym przeniósł się do innego wymiaru.

Chwyciłem cię za rękę i przyciągnąłem delikatnie do siebie. Wtuliłaś się, opierając głowę na moim ramieniu. Zaczęliśmy podrygiwać w rytm muzyki, tak jak tańczą nieśpieszni kochankowie. Pewni swoich uczuć delektują się każdym muśnięciem, słodką wilgocią wiecznie głodnych ust. Wiedzą, że za chwilę odpłyną w inną

przestrzeń, która istnieje tylko między nimi. To podróż, podczas której nie możesz sobie pozwolić na to, by umknął ci choćby jeden szczegół, gdyż taka przygoda nie zdarza się dwa razy. To jak przejście do innego świata – nawet jeśli zapragniesz wrócić, to nie ma dokąd. Rzeczywistość, którą znałeś, zaciera się z każdym pocałunkiem, ulatuje z każdym westchnieniem.

Tak właśnie grałem, rozbierając cię po cichu, gładząc twoje plecy, muskając ustami smukłą szyję. Gdy skończyłem, nie miałem wątpliwości, że i tobie wyświetlił się ten sen. Patrzyliśmy na siebie z intensywnym napięciem, tak jakbyśmy tym jednym spojrzeniem próbowali sobie wszystko wyznać. Twoja drwiąca pewność siebie gdzieś znikła, zdradzona przez podstępne rumieńce. Ja czułem się na tej scenie nagi i nie wiedziałem, jak się zachować. Czekałem na twój ruch, zastanawiając się, czy przyjmiesz mnie wraz z tym wszystkim, co wyznałem ci między C a C? Uśmiechnęłaś się lekko, nie kpiąco jak za pierwszym razem, lecz uroczo. Wyciągnąłem rękę w twoim kierunku, a ty po chwili kokieteryjnego zawahania ujęłaś ją. Dziś uważam, że to był ten moment, w którym powiedziałaś, że bierzesz moje serce w dłonie i otoczysz je troską.

Zdawało mi się, że otrzymałem dar od losu, prezent na Gwiazdkę. Teraz wróć do oczu małej dziewczynki – właśnie po nich mnie odróżnisz. Nie po kędzierzawych włosach, szpiczastym nosie czy szczupłej sylwetce. Straceńca zawsze poznasz po oczach małej dziewczynki, której nadzieja została zabita jednym bezlitosnym ciosem.

– Nie myśl tyle, bo zostaniesz myśliwym!

Z odmętów żałości wyrywa mnie Mario, który przesłonił jaskrawobiałą plamę drzwi. Zamawia dwa piwa, jedno przesuwa po stole w moim kierunku, posyłając mi empatyczne spojrzenie. Krzesło ze zgrzytem przyjmuje ponad sto kilo jego tuszy. Zaczyna następną mowę, która ma mi coś uświadomić… że warto żyć, że nie jestem jedyny, że będzie lepiej. Nie wiem, co mu powiedzieć. Tłumaczenie komuś własnej depresji ma tyle sensu co gra w kalambury ze ślepcem. Zresztą w drugą stronę wygląda to podobnie. Mimo

że siedzimy przy jednym stole, dzieli nas przepaść. A my na jej dwóch krańcach drzemy mordy ze szczerym i niezwykle naiwnym przekonaniem, że nasze światy wcale nie są tak bardzo odległe.

Czasem chciałbym mu to wszystko opowiedzieć, ale wciąż słyszę pytanie: *co później*? Nic. Trucizna nadal będzie krążyć w moich żyłach i nie ma od tego ucieczki. Rezygnuję ze zwierzeń, by nie pogłębiać poczucia wyobcowania. Zapalam papierosa, długo przytrzymuję dym w płucach i wypuszczam go przez wąską szparę w ustach. Ciągnę duży łyk piwa – znieczulania ciąg dalszy. Mario ponownie rzuca wyświechtany tekst i siedzimy tak razem, a jakby osobno. On całym sobą woła: *wracaj do nas, bracie! Tu jest prawdziwy świat. Ty stąpasz po drodze, która prowadzi donikąd.* Pewnie ma rację. Lecz czym jest rzeczywistość, jeśli nie projekcją naszego umysłu? Może ty też byłaś tylko utopią, cudownie słodką mrzonką rozedrganych synaps?

Wchodzi reszta ekipy. Chudy Maniuś dźwiga swoje klawisze, szersze niż on sam. Miętus taszczy w futerale kontrabas, Buźka zaś lekkim krokiem idzie z gitarą. Siadają i mają pretensje, że pijemy bez nich. Zaczynają nadrabiać. Biorą strzała i po browarze. Buźce nie siadło, krztusi się ku uciesze złośliwców.

– Ty to chyba oprócz tej ładnej mordki nic nie umiesz porządnie zrobić, nawet szocika nie potrafisz łyknąć jak facet! – docina mu Mario.

– Ja przynajmniej obudziłem się między parą jędrnych cycków, a ty, jak znam życie, musiałeś wigwam składać.

Buźka nie pozostaje dłużny. Ksywę zaczerpnęliśmy z serialu *Drużyna A*. Jest znany ze swej skuteczności w zdobywaniu kobiecych wdzięków. Zwykle ripostuje, przechwalając się erotycznymi podbojami.

– Pewne rzeczy taniej załatwiać na własną rękę. – Mario nie daje się zbić z tropu.

– Jak tak dalej pójdzie, to umrzesz z ręką w gaciach.

– Tobie za to myli się dymanie z miłością.

– Patrz tutaj. – Wskazuje mnie otwartą dłonią niczym eksponat. – Oto masz żywy obraz tych, którzy uwierzyli w te brednie. Nawet ty ze swoją Renią Rączkowską wyglądasz lepiej niż on z tą dozgonną, a raczej zgonną miłością.

– Zejdź z niego, widzisz, że ledwo dycha! – woła zza baru Saszka.

– No już, wybacz, bracie. Wiesz, że cię kocham.

Buźka obejmuje mnie po bratersku i daje buziaka w policzek. Odsuwam go od siebie z odrazą przechodzącą w niewyraźny uśmiech.

– Uważaj, bo się w nim na serio zakochasz – rzuca Mario.

– Miłość nie zna granic! – dodaje swoim cienkim głosem chudy Maniuś.

– Ty to masz, stary, pecha, kobita cię zostawiła, a tu jakiś pedryl się do ciebie ślini – wali bez ogródek Miętus.

– No chodź, pocieszę cię. – Buźka przyciąga mnie do siebie. – Dowiesz się, jak to jest z prawdziwym casanovą.

Udaje mu się mnie rozśmieszyć. Pierwszy raz od wielu tygodni uśmiecham się w niewymuszony sposób.

– Patrzcie, jak się cieszy! – Gitarzysta pęka z dumy.

– Bierze cię na litość! – podsyca Maniuś.

– I jaki rumieniec! No, nie wstydź się, każdy kocha, jak umie.

– Weź se dokręć śrubkę, co ci się poluzowała w tym kosmatym łbie! – staram się to uciąć.

– I tak wiem, że wszyscy chcielibyście mnie przelecieć – stwierdza całkiem poważnie Buźka, teatralnie zaciągając się papierosem.

– Nie przeczę – cieszy się Maniuś, który jedyny mówi serio.

– Nie obraź się, ale nie jesteś w moim typie. Nie lubię facetów, którzy nigdy się nie golili. Jak z facetem, to z prawdziwym! – Puszcza oczko do Maria, który właśnie zmierzwił gęstą rudawą brodę.

– Weź... – obrusza się perkusista. – Nie mogę przecież zdradzić Reni!

– Miłość do ręki! Ciekawe, co by powiedział na to profesor Lew-Starowicz? – wtrąca Miętus. – Miłość do ręki, zwana z łaciny *amor manus*, znana była już w czasach starożytnej Sparty – parodiuje seksuologa, akcentując mocne „r". – Wojownicy wyruszający

na wyprawę wojenną często nie mieli innego sposobu na zaspokojenie własnych potrzeb.

– Ech, chłopaki, czy wy kiedyś dorośniecie? – pyta Saszka, a w odpowiedzi dostaje chóralne *NIEEE!*.

– I z kim byś się śmiała, jakbyśmy wszyscy byli tacy poważni jak pan Trąba? – dodaje Miętus.

– Weź, skończ. – Saszka tym razem nie żartuje.

– Dobrze już, dobrze – ucina nasz kontrabasista.

Jeśli istnieje jakiś promyk radości w moim kurewsko smutnym życiu, to jest nim ta banda obwiesiów i tanich podrywaczy, których pieszczotliwie nazywam gamoniami. Łączy nas nie tylko muzyka, lecz także szczera przyjaźń – prosta, dosadna, pozbawiona finezji. Jej miary nie stanowi czułość ani troskliwość, raczej ich przeciwieństwo. Pod tą hałdą chamskich docinków i niewybrednych uwag kryją się głębokie uczucia – wierność, oddanie, realne wsparcie. Te kpiące uwagi na temat mojego doła stawiają mnie na nogi sprawniej niż współczucie.

Nie pijemy za dużo, gdyż chcemy porządnie poćwiczyć. Nieraz próba po pijaku kończyła się awanturą, a nawet rękoczynami. Zamroczony alkoholem umysł nie słucha metronomu. Z uporządkowanego chaosu, jakim jest jazz, robi się prostacka plątanina dźwięków. Chwytamy za instrumenty. Czekamy, aż Mario nabije, i już lecą pierwsze nuty. Po chwili wchodzi Miętus równo z Mańkiem. Noga sama wybija rytm. Nikt na nikogo nie patrzy – każdy jest zatopiony w swojej frazie. Pochłania nas to niczym czarna dziura, w której nie ma nic prócz dźwięku. To moje paliwo, moje ukojenie. Niecierpliwie czekam na smętne kawałki, w których mam długie solówki. Wówczas mogę dać ujście smutkowi, który z takim pietyzmem pielęgnuję całe dnie. To na tyle widoczne, że w przerwie między kawałkami Miętus sugeruje, by nagrać coś nowego.

– Chłopaki, skoro nasz Romeo jest chodzącym nieszczęściem, to może pierdolniemy jakąś rzewną balladkę? Taką, po której dreszcz na plecach i łezka w oku, co?

– Dawno nic nowego nie nagraliśmy. Warto by odświeżyć repertuar – zgadza się Maniuś.

– Tylko czy nasza panienka da radę, czy się rozpłacze w trakcie? – musiał dosrać Buźka.

– Stul tę ładną mordkę, bo ci się w końcu potłucze – odbijam bez cienia żartu.

– Dobra, dobra, nie grzej się tak, stary.

– To jak? Masz tam coś, co chciałbyś spuścić? – dopytuje Miętus.

– Pomyślę. Może fajka i szocik? – proponuję.

– Mądry człowiek! – cieszy się Mario.

Piję strzała, na fajkę idę w kąt. Siadam na krześle. Zakładam nogę na nogę. Zaciągam się parę razy, obmyślając nowy utwór za pomocą ledwo słyszalnego gwizdu. Wreszcie przykładam instrument do ust, by sprawdzić, jak brzmi w pełnej krasie.

– Tej, to nie ma być marsz pogrzebowy! – krzyczy z daleka Miętus. – Smuteczek jak najbardziej, ale nie chcemy grać po cmentarzach, tylko w salach koncertowych.

Wybił mnie z konceptu. Ostatnio tylko takie melodie przychodzą mi do głowy. Zaciągam się powoli i słyszę w myślach Pata Metheny'ego z jego coverem Bitelsów *And I Love Her*. Cover coveru – czemu nie? W muzyce było już wszystko, tylko mnie jeszcze nie. Poprzedzam krótkim intro, przeciągłe niższe H na D, po trzeciej pętli H, D, C, E, D, F – dużo wolniej niż w oryginale. Nikt by się nawet nie domyślił, że to ten kawałek.

– Kurwa, to jest to! – stwierdza zadowolony Miętus.

Nie słucham go, gram dalej. Odchodzę od głównego motywu, dodaję to, co siedzi we mnie – niższe H na E i zejście do D – to chyba smutek. Później A na G na F i podwójne E – zdaje się, że to ból. A na G na B na górne C, kilkukrotnie zapętlone – wyraża marazm, w którym teraz tkwię. *Pętla* to chyba najlepszy tytuł. Raz, że powtarza się ciągle ten motyw, jak ruminacje, których nieustannie doświadczam. Dwa, że zaciskam pętlę wokół własnej szyi. Z każdym dniem zdaje się coraz ciaśniejsza. Czekam na dzień, w którym zacznie mnie dusić. Będzie to hymn wszystkich straceńców, tych

biednych, żałośnie naiwnych skurwysynów, cierpiących przez niewinne kobiety, które całkiem nieświadomie posyłają urocze uśmiechy i nęcące spojrzenia.

Wracamy na podest.

– Masz to? – pyta Buźka.

– Zróbmy z tego długi utwór. Głównym motywem będzie to – prezentuję – tylko w różnych oktawach. Jeszcze nad finałem muszę pomyśleć, ale chodzi o to, żeby po każdej sekwencji wrócić do tej melodii. W sensie ja gram, a później kończę tą pętlą i potem na przykład Maniek kontynuuje, ale tak, że znów zapętla ten motyw.

– Nie no, spoko, ja to widzę – przytakuje Maniuś.

– Brzmi dobrze – potwierdza Miętus.

– Tylko to musiałby być rzeczywiście długi kawałek, kilkunastominutowy. Taki, w którym napięcie rośnie powoli, a finał jest z takim kopem, coś jak *Svantetic* Komedy, kapujecie?

– Dreszczyk i łezka – cieszy się Miętus.

– Dobra, panowie, zapowiada się pracowity wieczór – zagrzewa Buźka.

– Ja gram początek a cappella, później wchodzi Mario razem z Miętusem – proponuję.

– *Let's play this shit!* – kwituje ewidentnie podniecony Mario.

Lecimy z tematem. Nie dałem rady dograć do końca, gdyż Maniek się wtrącił, że trzeba zacząć od klawiszy. Nie dyskutuję, próbujemy dalej. Za którymś razem wreszcie wychodzi. Po moim intro z akompaniamentem Mańka wchodzą Mario z Miętusem, w tle w dalszym ciągu słychać klawisze. Kołyszą mnie efemeryczne dźwięki długich strun, otulone przez szemrzące na werblu miotełki milknące przy finałowej pętli w solówce Miętusa, którą niebawem Mario przerwie mocnym uderzeniem. Harmonia kontrabasowej melancholii zostaje rozdarta przez szybkie i precyzyjne smagnięcia grafitowych pałeczek. Niskie brzdąknięcia rezonujące w przepastnym brzuchu zmienią się w tło tych heroicznych zmagań z rytmiką, od których na czole Maria zagoszczą wielkie krople

potu. Swoją partię wieńczy jakimś szaleńczym gradem na cowbellach, których ma cztery, dzięki czemu jest w stanie odwzorować melodię.

Ułamek sekundy przed ostatnim uderzeniem rzuca spojrzenie Buźce. Tyle wystarczy, by ten wszedł z jedną z tych swoich niesamowitych solówek. Uwielbiam, jak on trąca te struny. Wędruje palcami po gryfie, jakby gładził plecy kochanki. Twarz wykrzywia w zamyślonym rozrzewnieniu. W końcu widać, że ma jakieś uczucia. W sumie tylko gdy gra, nie wygląda jak sukinsyn. Jest z nas najlepszy. Szeroka szczęka, nawet ogolona, zdradza mocny ciemny zarost, który trzeba tępić każdego ranka. Włosy jak drzewa w amazońskiej puszczy, zaczesane na brylantynę, i te jasne, świdrujące oczy. Wystarczy, że założy biały T-shirt, skórzaną kurtkę i wygląda jak pieprzony Brad Pitt.

Gdy go pierwszy raz zobaczyliśmy, każdy z nas miał wrażenie, że to taka ładna lala o inteligencji odwrotnie proporcjonalnej do nieskazitelnej urody, tyle że w męskim wydaniu. Siedział w barze, do którego przypadkiem wpadliśmy. Wtedy to on był takim mrukiem jak ja teraz. Palił papierosa za papierosem i nieodgadnionym wzrokiem świdrował cegły. Dopiero gdy chwycił za gitarę, zaczęliśmy na niego inaczej patrzeć. Prawdziwy mistrz. Nadawał swojej muzyce wibrację, która wchodziła w najgłębsze zakamarki duszy. Nie odpuszczał żadnego dźwięku, każdy dopieszczał do maksimum. Jeszcze nie wybrzmiał ostatni akord, a już zaczęły się docinki w naszym stylu:

– Widzę, że bozia dała ci nie tylko ryj jak z Beverly Hills dziewięćdziesiąt dwieście dziesięć, ale nawet potrafisz coś zagrać – zaczął Mario.

– Ty, stary, musiałeś na loterii genów zasnąć najebany pod stołem, zamiast kupić jakiś kupon.

Buchnęliśmy śmiechem i od razu wiedzieliśmy, że to swojak. Nigdy nie dał się zapędzić w kozi róg. Jeśli się nie odcinał, to tylko wtedy, gdy wiedział, że pyskówka skończyłaby się złamanym nosem. Chyba wszyscy po trosze mu zazdrościliśmy. Ideał, niczego

nie dało mu się zarzucić, oprócz tego, że zwykle nie mówił zbyt wiele o sobie. Każdy z nas, a szczególnie Mario, wylewał swoje żale prosto na stół. Różne szły zwierzenia. Mario przyznał się kiedyś, że mu nie stanął, gdy w końcu poderwał jakąś pannę. Maniuś, zapewne podejrzewając, że nie dorośliśmy do poznania jego gejowskich przygód, nie był aż tak wylewny, ale też nie wyglądał na skrytego. Miętus zdawał się najbardziej stateczny, ale jak go stara wkurzyła, to też przychodził i klął.

Co innego Buźka. Coś niby mówił, ale w sumie nigdy nic konkretnego. Potrafił sensownie doradzić, ale czasem miałem wrażenie, że te nasze problemy zwyczajnie go nudzą. Poza tym nigdy nie odnosił się do swojego życia, raczej do jakichś mądrych cytatów czy książek. Kompletnie dziwny typ… Niby nie wyglądał na wstydliwego, ale podświadomie wyczuwasz, że pod tą piękną mordką i brawurową pewnością siebie skrywa jakąś skazę, zadrę, coś, czego nie pokazuje nikomu. Nie wiedzieliśmy jednak, co to jest. Na początku Mario starał się go wypytać, ale jemu też nie powiedział. Czasem jak się napił, to spuszczał głowę i patrzył w jeden punkt. Wtedy dało się zauważyć, że nawet ktoś taki jak on ma problemy.

– Teraz razem! – krzyczę.

Daję znak, kiedy zacząć. Pętla zatacza kolejne kręgi. Wkręcamy się coraz bardziej. Utwór zaczyna żyć własnym życiem. Czuć, że każdy podłapał. To nie jest już tylko mój kawałek, teraz każdy z tych nicponi dodał do niego swoją wyjątkową cząstkę. Stanowimy jedno ciało, które narodziło się dla muzyki. Sygnalizuję pauzę. Jak na jeden organizm przystało, przerywamy w tej samej chwili. Zaczynam tupać. Chłopaki dołączają się bez zaproszenia. Po Absencji rozchodzi się dudnienie marszu straceńców. Drewniana podłoga stęka pod naporem naszej twórczości. Ponownie zatrzymuję tę muzyczną chimerę i na raz tupanie ustaje.

Czas na finałowe solo, które bezwstydnie zagarniam dla siebie. Wdrapuję się stopniowo na kolejne oktawy. Zaciskam mocno usta, marszczę czoło, napinam zamknięte powieki. Trąbka rozdziera się krzykiem ukrytym głęboko we mnie. To ten skowyt, który

tłumiłem przez ostatnie miesiące. Wycie, lecz nie wilcze. To nie ma nic wspólnego z żadnym zwierzęciem. Tak kwili mężczyzna, który stracił miłość. Podobne dźwięki nie istnieją w naturze. Zapewne dlatego człowiek stworzył instrumenty – by wyrazić to, co niewyrażalne ani słowem, ani gestem, ani nawet najbardziej dojmującym szlochem.

W tych paru dźwiękach znajduje się cały smutek po twoim odejściu. Gorsze niż ten ból zdaje się tylko poczucie braku jutra, bo co to za jutro, skoro nie ma w nim ciebie? To trochę jak wiara w to, że dach może stać bez fundamentu. Ty byłaś fundamentem wszystkiego, co miało dla mnie znaczenie.

Obudziłem się w łóżku sam, jednak zostałem pozbawiony czegoś więcej niż ukochanego ciała i mieszkającej w nim duszy. W okamgnieniu zaczęły upadać kolejne klocki domina: *Filozoficzne Środy* w kinie Muza, weekend nad jeziorem tylko we dwoje, planowana od dawna podróż do Porto – niespodzianka na twoje urodziny. Nagle Ribeira pokryła się szarością, księgarnia Lello nie kusi już tajemnicą, złoto w kościele św. Franciszka zasnuła patyna, nawet Ponte da Arrábida układa się w kształt smutnych ust. Zostałem sam, lecz nie tylko bez ciebie, lecz także bez wszystkiego, czym chciałem cię obdarować. Bez mruknięć, bez szeptów, bez muśnięć. Straciłem nie tylko kochankę, lecz także przyjaciółkę. Jedyną osobę, której mówiłem wszystko, której ufałem, dla której chciałem stać się lepszym człowiekiem.

Nadzieja to śmieszne słowo, tyle w nim patosu, obietnicy, tak niewiele kłamstwa. A jednak to ona jest królową złudzeń. Zasłoną dymną niepozwalającą dostrzec prawdy, która zmieniłaby nas w słup soli. Chciałbym mieć jej chociaż krztynę, kropelek kilka, by móc wstrzyknąć ją jak heroinę i nie patrzeć tej suce prawdzie prosto w bezlitosne oczy. Kłam, zwódź, oszukuj mnie, bo dzisiaj wiem, że od rozstania gorszy jest ten brak nadziei, rozdęty na niezliczone godziny.

Przechodzę do finału. To wrzask, to niezgoda i łzy. Dźwięki kłują piskami bezlitośnie zamordowanej przyszłości. Wyginam

się w żałosnych konwulsjach. Z trąbki ulatują ostatnie dźwięki *Pętli*. Otwieram oczy, a na powiekach wyczuwam wilgoć. Chłopaki spoglądają na mnie z mieszanką współczucia i przerażenia. Po raz pierwszy od dawna nikt nie odważył się rzucić zgryźliwej uwagi. Wręcz przeciwnie – wszyscy jak jeden mąż przejawiają rzadkie dla siebie zachowanie o nazwie *empatia*.

To chwila, którą zapamiętam do końca życia. Są takie dźwięki, które mówią więcej niż tysiące słów, setki gestów. Wyrażają dokładnie uczucia, o które poeci zaledwie się ocierają, odbierając mowę największym zuchwalcom. Stoimy i gapimy się na siebie, jakbyśmy poznali jakąś wielką tajemnicę istnienia. Złączeni stworzeniem utworu na miarę *Symfonii pieśni żałosnych* współdzielimy ten czyn – czysty, piękny, a zarazem w pewnym sensie wręcz bolesny. Ujście wszystkich nigdy niewypowiedzianych emocji. Nie wiem, czy dobrych, czy mrocznych. Są takie doznania, które nie mają nazwy. Nie dojrzałeś ich u wielkich pisarzy ani w ponadczasowych malunkach, a jednak one się tam kryły, tylko nikt do tej pory ich nie nazwał.

– Chyba trzeba coś chlapnąć – przerywam impas.

– Oj tak – potwierdza z westchnieniem Mario.

Siadamy przy stole i zamawiamy coś mocniejszego. Z rzadka wymieniamy spojrzenia. Są badawcze, jakbyśmy chcieli się przekonać, czy reszta czuła podobnie. Ludzki umysł to niesamowita maszyna – nic nie jest cię w stanie bardziej zniewolić, nic też nie może ofiarować ci większego spokoju, bo wolność nie zależy od miejsca, lecz od decyzji.

Czy to był pierwszy krok do wyjścia na prostą? Do tej pory myślałem, że przed całkowitym upadkiem ratują mnie wspomnienia, bo tylko dzięki nim mogę być blisko ciebie. To doświadczenie odkryło przed mną wymiary, w których jeszcze nie postawiłem stopy. Dekadencja, z którą się tak obnoszę, na chwilę znikła. Po miesiącach rozdrapywania tej samej rany doznałem chwili nieporuszenia. Przeniosłem się do miejsca, gdzie istnieje to, co prawdziwie jest mną – bez ciebie, bez myśli, bez pragnień. Doświadczenie stanowi

najlepszą formę poznania. Żadne słowa pocieszenia nie są w stanie wyrwać mnie z tej wielkiej pustki, jednakże to doznanie uzmysłowiło mi, że gdzieś tam w zakamarkach świadomości kryje się ocean spokoju, o którym nie miałem pojęcia.

III

Knajpa powoli się zapełnia, więc pijemy ostatnią kolejkę, chowamy instrumenty na zapleczu i ruszamy w miasto. Od progu uderza nas powietrze odżywające po całodziennej spiekocie. Wdychamy je łapczywie i jak na ironię ładujemy do gęby szlugi. Zaczynają się śmiechy – ten wyjątkowy moment uwolnił w nas wcześniej nieznaną energię. Przepełnia nas jedność, jakbyśmy byli braćmi. Nie śmiejemy się, by zabić nudę, ale dlatego, że buzuje w nas radość. Z dawna niewidziana lekkość niesie mnie wprost ku uciesze. Pojawia się we mnie coś, za czym tęskniłem – beztroska pijanego nastolatka. Po wzniosłym cierpiętnictwie mam ochotę być przez chwilę prosty, wręcz tępy. Chcę zapomnieć o wszystkim i po prostu być.

– W *kawiarniany gwar jak tornado jazz się wdarł i ja też chciałem grać*! – Miętus intonuje legendę.

Wchodzimy, każdy w innym momencie. Po chwili łapiemy wspólny rytm. Złączeni w braterskim uścisku drzemy się niczym żołnierze rezerwy zwolnieni do cywila. Wóda w żyłach wyrywa nam z gardeł kolejne fragmenty *Autobiografii*.

– *Stu różnych ról, czym ugasić mój ból…*[1]

Ten fragment zostaje we mnie, lecz tylko na ułamek sekundy, bo już ruszamy przed siebie, niesieni *nieznośną lekkością butów*. Zajmujemy cały chodnik, niezgrabnie wymijając przechodniów z naprzeciwka. Po hicie Perfektu nadchodzą kolejne klasyki. Ludzie gapią się na nas, ale jestem zbyt wcięty, by odróżnić, czy z niesmakiem, czy z rozbawieniem.

---

1 Bogdan Olewicz, *Autobiografia*, wyk. Perfect.

Po kilku przystankach na dotankowanie małpek w końcu udaje nam się dotrzeć do pubu. Schodzimy po stromych schodach do piwnicy. Wita nas mętne światło i zaduch spoconych, pijanych ludzi. Zamawiamy browar. Pijemy toast za toastem: za muzykę, za przyjaźń, za plany.

– A pamiętacie, jak Mario schlał się na tej domówce u Pabla? – pyta Miętus.

– Jakiego Pabla? – interesuje się Buźka, którego jeszcze wtedy z nami nie było.

– Wszystkim chciało się lać – kontynuuje wyraźnie podekscytowany Miętus – i nagle zrobiła się mega kolejka do kibla. Walimy, stukamy i nic, cisza! Myśleliśmy, że ktoś zasłabł, patrzymy przez kratkę na dole, już chcieliśmy wyważać drzwi, a tu nagle rozlega się głośne chrapanie, jakby ktoś skrobał widelcem o tarkę!

– No bo zmęczony byłem, no! – tłumaczy się Mario. – Chciałem się położyć w sypialni, ale tam jakaś parka się gziła, więc poszedłem do łazienki i ta wanna tak na mnie spojrzała, że mówię: *a zaprzyjaźnię się z nią*!

– Czaisz, że Mario rozebrał się do gaci i poszedł spać do wanny?!

– Myślałem, że się wtedy zsikam! – dodaję.

– I to szczanie z balkonu na czwartym piętrze…! – wspomina z pewnym rozrzewnieniem Maniek.

– Epickie! Stara Pabla chyba nigdy nie miała tak elegancko podlanych pelargonii! – drze się Miętus.

– Dziwne, że sąsiedzi nie zadzwonili na policję – uzupełnia Maniek.

– To były czasy! – podsumowuję ze szczerym sentymentem.

Przeciskamy się przez tłum w kierunku sali z małą sceną, skąd dobiega dźwięk muzyki. Zespół kończy grać *November Rain*. Na środku stoi seksowna dziewczyna w czarnych dżinsach i obcisłej koszulce z wydatnym dekoltem. Włosy opadają jej ponętnie na twarz. Buźka już łowi ją spojrzeniem. Zawsze tak robi – wchodzi i rozgląda się za towarzyszką na najbliższą noc.

Wybrzmiewają dźwięki kolejnego utworu, który spina mi kark ciężarem straty. Serce tłucze się jak ptak w klatce miłości. Doskonale znam tę melodię od pierwszych nut, niesie zapach twoich perfum i ikrę twej żądzy. Czasem puszczam ją, by na moment wrócić do chwil, które tak bezbłędnie ozdabiała. Retrospekcja niczym film wyświetla się w mojej głowie. Pijacka euforia pryska w mgnieniu oka. Znów zapadam się w mojej matni. Gitarzysta kończy intro, a wokalistka zachrypłym głosem zaczyna krzyczeć: *come on*, *come on*, *come on*, i przed moimi oczami pojawiasz się ty…

Nastawiasz płytę w gramofonie. Odwracasz się i rzucasz mi to nęcące spojrzenie. Nogą odsuwasz krzesło i sadzasz mnie na nim władczym ruchem. Nachylasz się i nucisz mi do ucha słowa Janis Joplin: *Didn't I make you feel like you were the only man*[2], po czym całujesz mnie i odsuwasz się szybko. Obracasz się tyłem i zaczynasz zmysłowo kręcić biodrami. Zwiewna sukienka ociera się o twoje uda. Przesuwasz dłońmi po odsłoniętych plecach. Serce bije mi jak szalone. Chciałbym się na ciebie rzucić, ale posłusznie czekam na to, co zrobisz. Bierzesz drugie krzesło, opadasz na nie. Rozchylasz nogi jak w *Nagim instynkcie* i dotykasz kusicielsko swoich ud. Zaczynasz się wić, rozpuszczasz włosy, a one opadają, kręcąc piruety niczym żywa istota. Wstajesz i powolnym krokiem się zbliżasz, świdrując mnie spojrzeniem. Nachylasz się, łącząc moje nogi, by całkiem nieśpiesznie mnie dosiąść. Ja łapczywie cię zagarniam jak nędzarz świeżą kruchą bułkę, lecz ty zabierasz moje ręce, by głód twojego ciała sięgnął zenitu. Doprowadzić mnie do granic szaleństwa – na tym właśnie polega ta gra. Całujesz mnie po szyi, powoli przesuwając po niej językiem. *Take another little piece of my heart now*, *baby*[3] – nucisz mi milimetr od ucha, po czym liżesz je zaczepnie. Patrzysz mi prosto w oczy, jakbyś chciała z nich wyssać moje uwielbienie. Zeskakujesz, odwracasz się i znów eterycznie

2 *Czy nie sprawiłam, że poczułeś się, jak gdybyś był jedynym mężczyzną?*, tłum. własne, *Piece of My Heart*, sł. Jerry Ragovoy, Bert Berns.

3 *Weź kolejną, małą część mojego serca, skarbie*, tłum. własne, op. cit.

falujesz. Twoje ręce wędrują do szyi, gdzie znajdują wstążkę, która trzyma na tobie sukienkę. Nie pozwalasz jej natychmiast opaść, lecz podsycasz napięcie w jakiejś nieokiełznanej potrzebie bycia wyjątkową.

Nie wytrzymuję. Wstaję i zdecydowanym ruchem przyciągam cię do siebie, nie tolerując oporu. Wtapiam się drapieżnie w twoje usta. Obracam cię tyłem do siebie i ściskam spragnione dłonie na twoich jędrnych piersiach. Całuję twój kark, by zaledwie po kilku sekundach zatęsknić za wargami. Mózg już dawno stracił kontrolę i wszystko wydarza się samoistnie, jakby było zapisane głęboko we mnie. To jedna z tych chwil, w której cały świat przestaje istnieć i nie widzisz dalej niż ciało ukochanej osoby. Pożądanie, które zniewala umysł na tyle, że przez moment nie potrafisz odróżnić, gdzie zaczynasz się ty, a gdzie ona. Fragment życia niepoddany prawom fizyki – czas poza czasem, przestrzeń poza przestrzenią, transcendentna podróż, w którą można udać się tylko we dwoje.

Z otępienia wyrywa mnie ostry szturchaniec od Buźki.

– Nie odpływaj, kolego. Jesteś tu i teraz, z nami. Dosyć tego użalania się. Dzisiaj wracasz do żywych.

Piosenka się kończy. Zespół schodzi ze sceny. Wokalistka spotyka przyjaciółkę. Buźka chwyta mnie pod rękę i ciągnie za sobą. Podchodzimy do stolika, przy którym siedzą. Buźka zagaduje. Przysiada się, nie pytając o pozwolenie. W ułamku sekundy kradnie całą uwagę. Przedstawia mnie, rzucając wydumany komplement. Dziewczyny się cieszą. Buźka bryluje elokwencją połączoną z luzactwem i humorem. Nawet mnie udało mu się rozśmieszyć. Nagle namawia piosenkarkę, by zaśpiewała coś specjalnie dla niego. Nie pytając jej o zdanie, ciągnie dziewczynę na scenę. Grają Bonnie Tyler – *Total Eclipse of the Heart*. Dziewczyna robi naprawdę świetną robotę. Ma ciemny, chrypiący głos. Pub trzeszczy w szwach. Rozemocjonowany Mario ściąga koszulkę, odsłaniając owłosiony brzuch. Rzuca ją pod scenę. Chłopaki powstrzymują go przed dalszym striptizem.

Buźka chwyta za gitarę i wchodzi razem z piosenkarką na refren. Są naprawdę bezbłędni – na tyle, że przechodzą mnie ciarki po plecach. Ludzie krzyczą i gwiżdżą. Rozchmurzam się, choć to uczucie dalekie od tej euforii sprzed godziny. Po wszystkim wracają, a Buźka nie zwalnia tempa. Zastanawiam się, skąd on bierze te anegdoty. Przy nas nie jest taki wyszczekany. W końcu koncentruje się na swojej partnerce. To sprawia, że i ja muszę się wreszcie wysilić.

Moja towarzyszka wydaje się miła, spokojna, lecz nie wycofana. Sprężyste, kręcone włosy za ucho dodają uroku jej delikatnej urodzie. Ma na sobie luźną białą koszulę z cienkiego materiału, pod którą rysuje się ponętny biust. Dziwię się, że dobrze rozmawia mi się z kobietą, która nie jest tobą, choć z pewnością alkohol rozmywa wiele blokad. Tak czy inaczej, gada nam się naprawdę dobrze, dzięki czemu wieczór leci jak szalony. Nie wiem kiedy knajpa zaczyna pustoszeć. Widzę, jak chłopaki biorą pod ramię Maria, któremu urwał się film. Machają nam na pożegnanie. Maniuś robi głupawą minę, a Miętus puszcza oczko.

My też powoli się zwijamy. Wychodzimy z wilgotnego pubu. Oplata nas chłodne powietrze poranka. Buźka bez skrupułów obejmuje wokalistkę i się żegna. Nastaje niezręczna chwila, bo przecież wcale nie miałem ochoty na podryw. Mimo to pytam, czy nie ma nic przeciwko, bym odprowadził ją do domu. Zgadza się, choć patrzy na mnie badawczym wzrokiem. Po chwili znów zaczynamy rozmawiać. Ja, już nieźle wstawiony, plączę się w zeznaniach, ona się śmieje. Jej niebieskie oczy są bystre i odrobinę kusicielskie.

Wzdryga się z zimna, a ja odruchowo ją obejmuję. Nie wzbrania, wręcz przeciwnie, przylega do mnie. Teraz już nie mogę jej odepchnąć. Nawet nie chcę, ale mimo wszystko czuję się trochę nieswojo. Pojawia się we mnie konflikt. Z jednej strony niczego bardziej nie pragnę niż nasycić się ciepłem jej ciała. Z drugiej strony znajdujesz się ty, jak melodia zapętlona w mojej głowie. Doskonale wiem, że nawet jeśli mnie opuszczasz, to tylko po to, by wrócić ze zdwojoną siłą.

Sytuacja rozwija się naturalnie. Wsiadamy do autobusu. Opieram się o szybę, a ona przytula się bez słowa. Obejmuję ją i przenika mnie wrażenie, że jesteśmy dwójką poranionych ludzi, którzy szukają w sobie ukojenia. Ta myśl budzi we mnie pewien rodzaj tkliwości. Warkot silnika, jej ciało, alkoholowe odurzenie – to wszystko wprawia mnie w przyjemną lewitację, którą przerywa autobusowy Wielki Brat beznamiętnie oznajmiający nasz przystanek.

Na zewnątrz oplata nas świetlistość budzącego się dnia. Rześkie powietrze nieco mnie otrzeźwia. Dochodzimy do klatki. Pocałunek – dziwny, niepewny. To pierwsze usta, których dotykam, odkąd twoje mnie opuściły. Mimo upływu czasu przeszywa mnie irracjonalna myśl, że to zdrada. Tłumię ją i zgadzam się wejść na górę.

W mieszkaniu kierujemy się od razu do sypialni, wymieniając kolejne pieszczoty. Rozbieramy się i lądujemy w łóżku. Zamykam oczy, a dłońmi, które wydają mi się zgrabiałe jak u starca, przesuwam po jej gładkiej skórze. W każdym centymetrze tego ciała szukam ciebie, lecz znajduję tylko swoją rozpacz. Pojawia się kolejny dysonans. Seks z tak piękną kobietą powinien wprawić mnie w ekstazę, lecz ja czuję coś w rodzaju bólu fantomowego po odciętej kończynie. Ponownie odganiam te absurdalne rojenia i przez moment skupiam się na zaspokojeniu mojej partnerki, która odwzajemnia te starania zmysłowymi stęknięciami. I znów jak kubeł zimnej wody oblewa mnie wstręt, lecz nie wiem do kogo, wtóruje mu jakieś niedorzeczne, niesamowicie palące rozdarcie. Przyjemność obcowania z kobietą kompletnie ulatuje.

Nagle chcę uciec jak przestępca przyłapany na gorącym uczynku. Nie wytrzymuję, zrzucam ją z siebie. Siadam na rancie łóżka, starając się zebrać myśli. Jej dłoń delikatnie mnie dotyka, lecz ja zrywam się niczym poparzony. Ona próbuje mnie uspokoić, przekonać, że nic się nie stało. Ogarnięty jakimś trującym zamroczeniem odpycham jej dłoń i wymierzam policzek.

Nie wiem, dlaczego to robię. Patrzę na swoją rękę, jakby należała do kogoś innego. Nagle wstyd wypiera poprzednie uczucia.

Chwytam się za głowę, zaczynam ją przepraszać, nieudolnie tłumaczyć. Ona patrzy na mnie rozżalonym wzrokiem. Może chciała znaleźć kawałek dawnego uczucia? Może jest tak samo zagubiona i szuka drogi, by znów odnaleźć siebie? Czy właśnie spoliczkowałem Straceńczynię taką jak ja?

IV

Wybiegam z bloku jak oparzony. Pali mnie wstyd, obezwładnia bezradność. Nie wiem, co ze sobą zrobić. Przypominam dziecko kwilące pośrodku płonącego budynku. Przyzwoitość – tyle miałem. Teraz nawet nie będę mógł o sobie pomyśleć jak o porządnym chłopaku. Moja niewinność umarła wraz z ciosem wymierzonym kobiecie, która zawiniła tylko tym, że nie była tobą.

Zaczynam biec, jakbym wierzył, że jestem w stanie uciec od własnej hańby. To chyba ta bezsilność tak żałośnie stara się zaznaczyć własne rozdęcie. Przez chwilę mam wrażenie, że to działa. Gnam jak opętany, zostawiając wyrzuty sumienia daleko w tyle. Serce galopuje niczym koń okładany batem, ślina cieknie mu z pyska, staje dęba, chroniąc mnie przed zapaścią. Nie mogę dojść do siebie. Dyszę, świszczę, krztuszę się. Nachodzi mnie ochota, by walnąć głową w mur całkiem dosłownie, gdyż w przenośni robię to od dawna.

Staram się uspokoić, ogarnąć, okiełznać, wyrównać, uciszyć, spętać, posklejać, odnaleźć, zrozumieć, uleczyć, choć w rzeczywistości stoję i sapię, zapadając się w sobie, jakby z każdym kolejnym wydechem ulatywała ze mnie cząstka życia. Nie zauważyłem, kiedy straciłem samego siebie. Gubimy się niepostrzeżenie. Nie jesteśmy w stanie dostrzec momentu, w którym zbaczamy ze szlaku. Idziemy jak koń z zaślepkami, by nagle obudzić się w ciemnej gęstwinie, z której nie ma wyjścia. Ja szedłem długo, tak długo, aż wszystko, co przeżyliśmy, przypomina kartkę zapisaną atramentem, który rozmył deszcz słonych łez.

Zapomniałem, przy którym utworze tańczyliśmy po raz pierwszy. Nie umiem przywołać twojego zapachu. Te setki spojrzeń,

muśnięć, szeptów uleciały gdzieś, w jakąś nieokreśloną przestrzeń, tak okrutnie niedostępną. A jednak wiem, że byłaś i pachniałaś jak wiosna, że twój śmiech dźwięczał niczym czysty kryształ i że wpuściłaś powietrze w moje stężałe płuca. Nie mam pojęcia, kiedy skręciłaś w boczną uliczkę, która prowadzi tam, gdzie nie ma słowa *my*. Idę i nie potrafię nawet stwierdzić, kiedy straciłem samego siebie, a tym bardziej, gdzie znajduje się to miejsce, w którym zimują nasze szczęśliwe chwile. Gdzieś przecież muszą się schronić.

Wchodzę do mieszkania. Kieruję się prosto do kuchni. Wyjmuję z szafki flaszkę *na wszelki wypadek*, która już niebawem niczym morfina odetnie nadmiar bólu. Roztrzęsioną ręką przechylam szkło i wypełniam gębę po brzegi. Trzymam ją z jakąś chorą wdzięcznością, jakbym się modlił o ukojenie. Przełykam alkohol i oddycham z ulgą. Piekące ciepło przepływa przez moje ciało. Niech wypali ten syf raz na zawsze! Nie chcę dłużej! Nie chcę tak! Nie chcę bez ciebie! Choć dziś po raz pierwszy poczułem, że nie wiem, czy powinienem nieść cię dalej w sercu. W końcu pojawiło się to, czego tak strasznie starałem się uniknąć – nienawiść. To ona zakiełkowała nieśmiałymi pędami, choć prawdopodobnie pod powierzchnią zapuściła już grube korzenie. Biorę kolejny obfity łyk. Żołądek skręca się w rulon. Dopiero teraz przypominam sobie, że oprócz soku pomidorowego nie miałem niczego w ustach. Oblepia mnie zaduch tego zasyfionego mieszkania, śmierdzącego starością, przepoconą pościelą i petami. Krzyczę wśród pustych ścian. To przez ciebie straciłem niewinność! Opróżniam butelkę i rzucam nią z całej siły w oziębłe cegły. Resztki siwuchy rozbryzgują się po pokoju. Przez zamach tracę równowagę. Przytrzymuję się framugi i stękam z jakąś żałosną niemocą.

Czekam, aż wódka zrobi swoje – odetnie mnie wreszcie od tych wszystkich myśli, tęsknoty, żalu. Nim to nastąpi, myślę jak zwykle o tobie. O tym, czy byłaś wyrachowana czy niewinna. Co z odpowiedzialnością? Morderca, naciskając spust, wie, że odbiera życie. A ty? Czy posyłając uśmiech, spojrzenie, pozostajesz bez winy?

Nie widzisz, jak twoja ofiara umiera. Krew nie bluzga na twą twarz. Ulotniłaś się tak samo niewinnie, jak się pojawiłaś. Zapewne nie chciałaś zabić, kochać bez wątpienia też nie, ale czy to w dalszym ciągu nie jest zabójstwo?

V

Budzę się. Leżę tak, jak upadłem, i przez chwilę, której długości nie potrafię oszacować, pozostaję w bezruchu, bezmyślnie wpatrując się w deski starej podłogi. Ponowne nawiązanie łączności z mózgiem zajmie jeszcze trochę. W międzyczasie obolałe synapsy dystrybuują po ciele piekło, które zafundowałem sobie poprzedniego dnia. Alkohol spełnił swoją funkcję i wystawił rachunek. Głowę rozsadzają mi precyzyjne uderzenia tęsknoty, którą starałem się wczoraj zabić. Raz, dwa, trzy, cztery, pięć, sześć, siedem, osiem… rozchodzą się po pustym wnętrzu echa żałości. Dopiero po jakimś czasie wraca do mnie mój haniebny czyn. Niczego to nie zmienia, dalej leżę i zdycham.

Po niemierzalnym marazmie spędzonym w tej przestrzeni rodem z innego wymiaru powoli dochodzi mnie odór przetrawionego etanolu. Nie ruszając głową, patrzę na światło padające przez okno w dachu i stwierdzam, że słońce wstało już dawno temu. Moja nora nagrzała się do nieprzytomności. Niesprzątana od dawien dawna wydziela zapachy trudne do zniesienia. Bardzo dobrze wybrałem swój grobowiec – w końcu to przestrzeń, w której mam sczeznąć. Niedoszłym nieboszczykom nie są potrzebne wygody ani gustowny wystrój. A jednak w tej chwili dałbym wiele, by przestało mnie skręcać, by jakimś magicznym sposobem przenieść się na plażę, poczuć chłodną bryzę i ukoić zmysły, wpatrując się w błękit nieba. Nagle dochodzi mnie kłujący szmer z kuchni. Z pewnością to nie dzieło grawitacji ani zwierzęcia. Moje serce przyśpiesza. Niespodziewana świadomość czyjejś obecności to uczucie przypominające gramofonową igłę opadającą z łoskotem na powierzchnię mojego skołowanego mózgu. Ktoś wszedł do mojego sarkofagu i nie